

JADWIGA MIZIŃSKA
Uniwersytet M. Curie-Skłodowskiej
w Lublinie

MIŁOŚĆ PEDAGOGICZNA

„Pod wieczór będą cię sądzić z miłości”.
św. Jan od Krzyża

1. Młodość — starość. Przyciąganie i odpychanie

Śmierć w Wenecji — opowiadanie Tomasza Manna a szczególnie stworzony na jego kanwie film Viscontiego, przedstawia historię zakochania i umierania z miłości. Dramat rozgrywa się między starzejącym się profesorem Aschenbachem a młodzieńczym i pięknym jak anioł Tadziem. Atmosfera tajonej rozpaczy, nostalgii i śmiertelności miłości otacza zarówno dwóch mężczyzn: jednego u progu życia, drugiego u jego schyłku (między którymi nawet nie dochodzi do wymiany słów o łączącym ich uczuciu), jak też samą scenerię. Rzec rozgrywa się w Wenecji, słynnym mieście, którego niebawem piękno i powolny rozkład mają tę samą przyczynę: położenie na lagunach.. Epidemia, zaraza przywleczone drogą wodną, ukrywane przed turystami a zbierające swoje czarne żniwo, maskowane wykwintem i luksusem — stanowią tło tragedii, jej milczącego narastania niewidocznego dla najbliższego otoczenia: śmierci Aschenbacha.

Ale za tym tłem, bezpośrednim i dosłownym, można dostrzec jeszcze inne, głębsze. Stanowi je agonia pewnej formacji kulturowej, epoka zwana dekadencją. Przełom wieków, oznaczający w tym wypadku nie po prostu kalendarzowe odejście w przeszłość minionego stulecia i otwarcie się kolejnej, czystej karty z nową datą, lecz zmianę zasadniczą: stylu życia i myślenia, w pewnym sensie niczym echo, trzeci jakiś pogłos, powtarza naczelny motyw. Jest nim relacja młodości i starości, dynamizmu i witalności z jednej, zaś zmęczenia, znużenia, zniechęcenia z drugiej strony.

Młodość i starość, początek i koniec, otwarcie i zamknięcie, wczesne nadzieje i późne niespełnienia, obietnice i niedokonania, zderzają się ze sobą, przeglądają w sobie i rozchodzą w przeciwnych kierunkach, nawzajem nie rozpoznane i nie pogodzone.

* Niniejszy esej adresujemy do uczniów i nauczycieli szkół średnich. Prosimy o wypowiedzi na temat trafności zaprezentowanej tu diagnozy „depresji pedagogicznej” oraz proponowanych metod terapii (red.).

W pierwszoplanowej, fabularnej historii dwóch bohaterów: Aschenbacha i Tadzia, odbija się nie tylko uniwersalny schemat niespełnionej miłości, ale także specyficzny dla naszej epoki dramat dojrzałości i niedojrzałości, konserwatyizmu i nowatorstwa, tradycjonalizmu i radykalizmu. Odwieczna ambiwalencja młodości i starości, przypisana do zjawiska następstwa i wymiany pokoleń, zyskuje tutaj osobliwą aurę. Jest ona spowodowana tendencją do przewartościowania wszelkich wartości, tak właśnie celnie nazwaną przez F. Nietzschego, filozofa o wyjątkowym słuchu i zmyśle metafizycznym — umiejętności odczytywania szyfru transcendencji i wychulonego szczególnie na szyfr kultury.

Owo przewartościowanie oznaczało także rewaloryzację relacji młodość-starość. „Śmierć Boga” bowiem to nie tylko detronizacja pozaziemskej Mocy, kierującej dotychczas sposobem hierarchizacji pozostałych wartości z pozycji pozaświatowej i ponadludzkiej. Wydzwignięcie Nadczłowieka na tron opustoszały po Bogu, dysponującego już własną wolą mocy, to również radykalne odrzucenie zasady autorytetu. Autorytetu opartego na starszeństwie, zasadzie ojcostwa. Wyzwalając się spod władzy boskiej, człowiek zyskuje wprawdzie autonomię i samodzielność, ale staje się także sierotą, sierotą kosmicznym.

W pierwszym okresie, po ogłoszeniu śmierci Boga, reakcją była euforyczna radość związana z poczuciem uwolnienia od kontroli surowego ojca i sędziego. Kultura przełomu XIX i XX stulecia zachłysnęła się ową radością i świeżą wolnością, jak uczeń rygorystycznej szkoły, który właśnie zdał maturę. (...) Koniec już z czcią dla tradycji i dla starszych jedynie dlatego, że mają przewagę wieku i doświadczenia, a nade wszystko — pozycji władzy.

Dekadencja to czas starcia się dwóch wartości kulturowych: tradycji oraz postępu. Za tradycją stoi autorytet czasu przeszłego, historii, z tego tylko względu, że trwa długo, a zatem jest „stara”. Narzecz postępu przemawia zaś „młodość czasu”, lekkość przyszłości niczym jeszcze nie obciążonej, a więc podatnej na dowolne i plastyczne kształtowanie stosownie do ludzkich marzeń i tęsknot

Dekadencja, z tego punktu widzenia, to swoista „rewaloryzacja temporalna”, odwrócenie znaków wartości. Plus, znak dobra, jakim dotychczas kultura europejska opatrywała przeszłość, został jej odebrany i przyznany przyszłości. To, co dokonane, oglądane na zakręcie dziejów, jęło się jawić jako czas mamy: nędzy, strachu, degrengolady; to, co niedokonane, a dopiero możliwe — jako czas radosny, w który należy wpisywać odważne, nawet heroiczne nadzieje.

Przeszłość została utożsamiona ze starością — niemocą w obliczu błędów, niespełnień i wszelkiego zła; przyszłość natomiast — z młodością, jej tężyzną, bezkompromisowością, wolą mocy, na przekór bezwładowi i starczej niemocy. Wiek XX oglądany z tej perspektywy, to prawdziwa eksplozja młodości, a może raczej — kultu i ideologii młodości. Młodość przy tym zyskała specyficzny sens: przestała oznaczać po prostu naturalne, jedno z czterech, stadium ludzkiego cyklu egzystencjalnego. Stała się kategorią kulturową i historiozoficzną, wartościowaną zdecydowanie pozytywnie i skonstrastowaną z negatywnie postrzeganą starością.

Aczkolwiek fenomen walki starego z nowym, poniekąd przeniesiony z biologicznego rytmu następstwa pokoleń, jest uniwersalny i znany z pradawnej

przeszłości, to bodaj nigdy nie miał on takiej rangi, jak obecnie. Starość i młodość, pojęcia w zasadzie biologiczne, w naszym stuleciu nabrały nie znanego wcześniej znaczenia, sensu i statusu. Są one dziś nie tylko nazwami poszczególnych stadiów cyklu egzystencjalnego, ale kategoriami aksjologicznymi, symbolami wartości silnie skontrastowanymi: „starość” wciela wszystko co negatywne—niemoc, bezradność, zbędność, brzydotę, natomiast „młodość” — witalność, aktywność, przedsiębiorczość, urodę, wdzięk. Kategoria młodości zagarnęła jakby wszystkie pozytywne aspekty egzystencji związane z życiem, kategoria starości zaś — na odwrót — wszystko, co kojarzy się z przemijaniem, zapowiedzią rychłej śmierci, a co kultura współczesna ocenia pejoratywnie. Tak więc pojęcia z zakresu biologii i psychologii, pretendują obecnie do roli kategorii antropologicznych i — w swoistym sensie — etycznych. Przy tym ich roszczenia prześlizgnęły się z dziedziny egzystencji ludzkiej także na sferę rzeczy. Kultura chętnie posiłkuje się słowami ukutymi w języku potocznym, takimi jak „starocie” czy „nowości” i wykorzystuje je w propagowaniu specyficznego stylu życia. Jego transmisją jest moda. Choć zdaje się ona dotyczyć kwestii czysto powierzchownej: ubioru i wyglądu, w istocie stanowi wyraz czegoś o wiele bardziej doniosłego. Za pośrednictwem błahych akcesoriów dyktuje ona mianowicie wzorce całościowego stosunku do świata. Nakłania, by zachowując się, postępując, prezentując w preferowany aktualnie sposób, akceptować w rzeczywistości to, co jest w niej zdrowe, witalne, młodzińcze, wesołe i przyjazne. Namawia do l u z u, w przeciwieństwie do szywności. Wabi wizją młodzińczości sprzęgniętej z nowoczesnością. Warunkiem osiągnięcia tego ideału jest równocześnie fascynacja i oczarowanie tym, co młode (*resp.* nowe) i pogarda do tego, co stare w sensie biologicznym, jak i chronologicznym. Wiąże się to z nastawieniem konsumpcyjnym dwudziestowiecznej cywilizacji. Popadłszy w schemat produkcji przedmiotów służących dobrobytowi, z wewnętrznej konieczności musi ona produkować także ciągle nowe rzesze ludzi pragnących użycia, używania. Młodość jest traktowana jako zdolność do takiego używania; kategoria ludzi młodych to potencjalni konsumenci przedmiotów wzmagających dobrobyt, zaś starość oznaczająca zużycie „substancji ludzkiej” — to kategoria ludzi nieprzydatnych, zbędnych, niefunkcjonalnych we wszechogarniających strukturach rynku.

Społeczeństwo dość bezwolnie, bez większych oporów, poddało się takiej inkodoktrynacji kultem młodości. Zwłaszcza nasz region kultury euroamerykańskiej, uległ wręcz opętaniu idolem młodzińczości.

Śmierć w Wenecji stanowi pod tym względem niejako zapowiedź — prorocstwo przyszłego, teraz już zrealizowanego, zwycięstwa „paradygmatu Tadzia” nad „paradygmatem Aschenbacha”. W opowiadaniu Manna umiera nie tylko starszy pan oczarowany uwodzicielskim pięknem młodzieńca. Wraz z nim odchodzi w przeszłość tradycyjny stosunek między generacjami starszą i młodszą, rodziców i dzieci, wychowawców i wychowanków, oparty na posłuszeństwie, szacunku, autorytecie, respekcie młodości do starości. Umiera też kultura uznająca przewagę czasu przeszłego nad przyszłym, tradycji nad nowoczesnością, dojrzałości nad niedojrzałością. Subtelna intuicja pisarza wyrażona opowieścią o historii tragicznej fascynacji gorzkiej i rygorystycznej mądrości — nieświadomym swego piękna nastolatkiem, zdaje

się wieścić rychłe odwrócenie hierarchii. W rzeczy samej — tak się właśnie dzisiaj dzieje.

2. Juwenalizacja kultury

Ostatnie sekwencje filmu Viscontiego mają symboliczną wymowę, prawdopodobnie zamierzoną przez reżysera. Oto profesor Aschenbach, wiedząc o nieuchronnym rozstaniu i niemożności kontaktu czy nawet dyskretnej obserwacji przedmiotu swego uwielbienia, dosłownie, literalnie—umiera z rozpacz. Przedtem jednak, łamiąc swoje zasady estetyczne, przekraczając własną pogardę dla udawanej młodości, u fryzjera poddaje się zabiegom odmładzającym: maluje sobie na czarno siwiejące włosy i szminkuje twarz. Sądzi przez moment, że w ten sposób uda mu się zatrzeć znaczną różnicę wieku i pozyskać wzajemność promieniującego naturalnym pięknem Tadzia. Ale przedłużająca się agonía bezlitośnie przypomina o prawach starości, przemijania. Łzy i agonalny pot sprawiają, że po zrozpaczonej twarzy spływa farba i szminka. Śmierć w swej ostatecznej wymowie przywraca rzeczywiste relacje między starością i młodością. Starość samotnie, desperacko odchodzi z życia; jednak młodość, uosobiona przez Tadzia, aczkolwiek pozostaje po stronie życia, także jest owiana tymi samymi barwami: smutkiem, samotnością, rozpaczą.

Bezwzględny test umierania i śmierci demaskuje iluzję, jakoby autentyczna różnica między starością i młodością dawała się w jakikolwiek sztuczny sposób zniwelować. Przypominając sobie dziś dzieło pisarza oraz reżysera, odnosi się nieodparte wrażenie, że przesłanie *Śmierci w Wenecji* zostało w filmie odebrane na opak. Inaczej mówiąc: kultura współczesna zignorowała przestrożę o niedorzeczności „zabiegów odmładzających”, lecz poszła tropem fascynacji młodością, dokonując swoistego jej spłaszczenia i strywializowania: przejawiało się to choćby w języku nadużywającym sztucznego wyrażenia „młodzieżowy”.

W istocie zaś jest to mimowolne odsłonięcie swoistego przesunięcia sensu ukrytego za „kultem młodości”, znamiennego dla obecnego trendu *j u w e n a - l i z a c j i* kultury. Zjawisko to można potraktować jako jedną z postaci fałszywej świadomości, a tym razem jej producentem nie jest klasa czy rasa, lecz generacja. Mianowicie — pokolenie ludzi dorosłych, w interesie których jest eksponowanie i przecenianie fenomenu młodości. Ponieważ młodość w ścisłym sensie tego słowa jest przejściowym stadium egzystencji, ograniczonym z jednej strony dzieciństwem, z drugiej — dojrzałością, to nie można na serio myśleć o jej faktycznym utrwaleniu. Równałoby się to bowiem zatrzymaniu czasu, co jest pomysłem absurdalnym.

Z tego też względu szerzy się kult stylu młodzieżowego, a nie zwyczajnie — kult młodości. Taka młodzieżowość, nie mająca zakorzenienia ontycznego (w naturze nic takiego nie występuje), staje się, jako pojęcie jedynie, obiektem łatwo poddającym się manipulacji. Termin „młodzieżowość”, aczkolwiek pochodny od terminu „młodość”, nie jest z nim równoznaczny. Uchwytuje on i eksponuje zaledwie powierzchowne i drugorzędne aspekty młodości i prezentuje je jako jej (rzekomą) istotę. Kategoria „młodzieżowości” stanowi sztuczny,

wydumany konstrukt zaprojektowany na użytek kultury konsumpcyjnej po to, by kształciła ona masy „jamochłonów” i „żarłoków” pochłaniających i szybko trawiących towary oferowane przez zmienne mody, tak w zakresie ubioru, wyglądu zewnętrznego, jak też zainteresowań artystycznych i intelektualnych. Na wolnym rynku podaź kształtuje popyt; sztucznie wywołane potrzeby na różnego rodzaju „nowinki” wprawiają konsumentów w nieustającą pogoń za owymi nowościami. Być nowoczesnym to tyle, co nadążać za liderami takiego wyścigu, aby zapewnić sobie luksus unikania deprecjonującego określenia „przestarzały”.

Atencja do *n o w o ś c i* jest symptomem ogólniejszego zjawiska: zagubienia właściwego rytmu czasu. Ponieważ czas przeszły został zdyskredytowany (historia to „zły czas” nędzy materialnej i zniewolenia duchowego), a czas przyszły — zarażony niepewnością, to do zagospodarowania pozostaje jedynie terażniejszość. Wszelako jest ona pozbawiona perspektywy, tym bardziej, że nad obecną kulturą, wskutek załamania wiary w transcendencję, ciąży swoista tanatofobia: przerażenie śmiercią jako koniecznością odejścia od suto zastawionego stołu.

Stąd właśnie gorączkowe i histeryczne „przestawianie” się na terażniejszość, czas pośpiesznej konsumpcji już gotowych produktów. Ideologia młodości jako groteskowa odmiana marzenia o wiecznej młodości, wytwarza zbiorową iluzję rzekomej możliwości spowolnienia naturalnych procesów przemijania. Dla wzmocnienia i zaspokojenia owej iluzji, produkuje ona odpowiednie idole: utrwalonego na stałe (poprzez *mass media*) wcielenia „słodkiego dzieciństwa” (Michael Jackson), „eksplodującej młodości” (Tina Turner) itp. Są one prezentowane jako naoczne dowody przewyciężenia upływu czasu. Dostatecznie długie i natrętne oddziaływanie takich przykładów ma sprawić, by ludzie uwierzyli we własną moc zwycięstwa nad przemijaniem. Przy okazji jednak towarzyszy tym osobliwym magicznym zabiegom swoista ideologia estetycznej i — generalnie — aksjologicznej przewagi młodości nad starością. Jest to jakby pogłos gorzkiej wypowiedzi starego Mannowskiego bohatera: „starość jest rzeczą wstydliwą”.

Wydźwignięcie na piedestał idola młodości i natrętne reklamowanie jego atrybutów, skrywa praktyczny interes dorosłych, czerpiących materialne i nieprzebrane korzyści z upowszechniania mody, sztucznie w ten sposób obsługującej wywołane potrzeby na ciągle zmieniające się akcesoria młodzieżowe. Kultura podchwytuje ten trend i w wielu innych dziedzinach zachowuje się tak, jakby miała do czynienia z rzeszą „wiecznych młodzieńców”. Preferuje — w ogólności — podpatrzony u młodych styl życia „na luzie”: zachowania ludyczne, pogoń za rozrywką, używkami, swobodą seksualną. Tym samym, aczkolwiek nie zawsze w sposób zamierzony, minimalizuje u swoich bezkrytycznych odbiorców poczucie odpowiedzialności nie tylko za los społeczeństwa, w jakim żyją, ale także za swój własny, osobisty los. Skrócenie perspektywy czasowej, zawężenie jej do zabawowego *hic et nunc*, uczy postrzegać swoje życie jako ciąg „impres”. Służą one rozrywce. „Rozerwać się” — w tym przypadku należy rozumieć prawie dosłownie. Osoba podległa swoistemu przymusowi rozrywki traci zdolność do skupienia, tego elementarnego warunku refleksji, również (i przede wszystkim) nad sensem swojej egzystencji i jej miejscem w świecie postrzeganym jako „dyskoteka”.

3. Depresja pedagogiczna

Juwenalizacja kultury w swoich efektach prowadzi do radykalnego zachwiania w dziedzinie relacji między generacjami: wstępującą i zstępującą. Tradycyjnie i do niedawna działo się tak, że starsze pokolenia: dziadków i rodziców, uważały za swój „święty” obowiązek wprowadzać w życie (tj. w kompetencję kulturową) pokolenia młodsze: dzieci i wnuków. Po to, by z jednej strony zachować ciągłość tradycji (interes samej kultury), zaś z drugiej, by zapewnić udany start w dorosłe życie, pełne surowych wymagań i obowiązków. Doświadczenie życiowe utożsamiane z praktyczną mądrością, stanowiło naturalną przesłankę autorytetu starszych i uprawniało ich, także w oczach ludzi młodych, do sprawowania funkcji nauczycieli, wychowawców, przewodników. Relacja pedagogiczna, z jej wyraźną asymetrią, była oparta na niekwestionowanym utożsamieniu dorosłości z dojrzałością, zaś młodości — z niedojrzałością. Biologiczne w zasadzie terminy: młodość i dorosłość, a także starość, zbiegały się znaczeniowo z terminami o charakterze psychologicznym, społecznym i kulturowym: dojrzałością i niedojrzałością.

Obustronna akceptacja autorytetu dorosłych miała przy tym podłoże emocjonalne. Uprawnienia do nauczania, pouczania, wychowywania brały się oto stąd, że relacja pedagogiczna przeniknięta była nastawieniem opiekuńczym. Dorośli czuli się głęboko odpowiedzialni za przyszłość młodzieży, powodowani troską o ich szczęście. U swoich najgłębszych źródeł paidea ma bowiem stosunek rodzicielski, model ojcowsko-synowski. Surowość, rygorizm, wysokie wymagania są w nim usprawiedliwiane miłością. Spośród innych postaci miłości, miłość rodzicielska wyróżnia się dalekowzrocznością i odpowiedzialnością za los swego obiektu.

Z czasem układ ten uległ daleko idącym wynaturzeniom i dewiacjom. W szczególności w epoce „nowoczesnej” (tej, którą Zygmunt Bauman przeciwstawia obecnej, nazywając ją „ponowoczesną”), nastąpiło drastyczne zachwianie równowagi na rzecz hegemonii dorosłych. Pamiętnikarskie i artystyczne relacje z początków XX stulecia (przykładem *Niepokoje wychowanka Törlesa E. Nolla*), ukazują szkołę — i generalnie, instytucje wychowawcze — jako rodzaj koszar, zaś społeczność szkolną jako organizację paramilitarną. Purytański styl życia, rzutujący na model pedagogiczny, ciągle jeszcze dawał się interpretować w paradygmacie rodzicielskim, tyle, że został on zdominowany przez bezwzględny posłuch młodych względem dorosłych.

Ślad emocjonalnego stosunku w układzie wychowawca-wychowanek, zanikł nieomal zupełnie w ustrojach totalitarnych. Nastąpiło wówczas krańcowe sformalizowanie wszelkich instytucji edukacyjnych w związku z upartyjnieniem i zideologizowaniem treści nauczania, a nade wszystko — z upaństwowieniem zarówno szkół, jak też... ludzi. Wszystkim wpajano, że obywatel stanowi „własność” państwa, jest jego funkcjonariuszem, zatem nie ma prawa (ani potrzeby) do zachowania minimum intymności, nawet w sferze emocjonalnej. Funkcję „ojca”, jednego dla wszystkich, brał na siebie przywódca narodu (kraju, państwa, klasy). Reszta, w tym i dorośli, w obrębie takiego paternalizmu, miała się czuć zwolniona z obowiązków rodzicielskich. Zwłaszcza — z troski o wyposażenie intelektu, umysłu i duszy w wartości przez nich samych wyznawane jako własne. Ideologia zagarnęła wszyst-

ko, decydując o tym, co dobre, piękne i mądre, zamykając wszystkie te pojęcia w jedną kategorię „słuszności”. Wychowawcom pozostawało wyłącznie być przekaznikiem „polityki wychowawczej” państwa, ta polityka istotnie miała prawo podporządkować sobie do końca paideę, która zasada się na ucłowieczaniu młodych generacji przez wprowadzenie jej w dorobek duchowy całej ludzkości.

Rola wychowawców została zastąpiona funkcją „inżynierów dusz”. To obiegowe swego czasu wyrażenie jest sprzeczne samo w sobie, jako że dusza to coś, co z natury swojej nie podlega inżynierii, jej procedurom stosowanym raczej dla martwych przedmiotów. Mimowolnie zdradza też ono rzeczywiste przesłanki totalitarnej antypaidei: zredukowanie człowieka (tak wychowanka, jak i wychowawcy) do rangi przedmiotów manipulacji. Przewaga pierwszego członu uczestnika relacji pedagogicznej staje się pozorna. Nauczyciel stał się bowiem bezosobowym pasem transmisyjnym „polityki edukacyjnej”, posłusznym wykonawcą poleceń idących „od góry” i przekazującym je „w dół”, także na zasadzie posłuszeństwa.

Paidea totalitarna zyskała teoretyczne wzmocnienie w postaci behawioryzmu. Jak wiadomo, operuje on schematem bodziec-reakcja, wykluczając pośrednictwo czynnika wewnętrznego (pojęcie duszy zostało zastąpione pojęciem psychiki pojmowanej na wzór kubła, do którego daje się wtłoczyć wszystko i który nie stawia oporu). W rezultacie wychowanie zmieniło się w trening obliczony na hamowanie niepożądanych, a wzmacnianie pożądaných, z punktu widzenia Państwa, zachowań. Zarówno dorośli, jak i młodzież — stali się aktorami realizującymi scenariusz kompletnego odpodmiotowienia i ubezwłasnowolnienia. Zamiast obywateli, autorytarne Państwo było bowiem zainteresowane posiadaniem bezmyślnych i bezdusznych funkcjonariuszy. Szkoła, rodzina i pozostałe instytucje powołane do kształcenia, nabyły cech po części koszar (ze względu na metody), po części — fabryki. „Obrabiały” one „surowiec ludzki”, wypuszczając spod jednej matrycy zunifikowanych osobników. Zasadą ich funkcjonowania było wpajanie posłuchu już to na zasadzie szerzenia wiary w idole Państwa i Wodza, już to stosowania brutalnej przemocy fizycznej, psychicznej i moralnej.

Współczesne trendy w kulturze odbijające się bezpośrednio na pedagogice, stanowią silną reakcję na ową totalitarną antypaideę. Dają się zinterpretować jako radykalne wychylenie wahadła w przeciwną stronę. O ile podstawową tendencją minionej epoki była gerontyzacja relacji społecznych, wyrażając się w bezwzględny autorytecie starszeństwa (wiekiem, pozycją, zasługami, doświadczeniem), o tyle skrajną na nią odpowiedzią jest obecna juwenalizacja. System edukacyjny, jak i pozostałe obszary życia, jest przeniknięty atmosferą buntu i rewolty przeciwko hegemonii dorosłych. Przy tym dorosłość jawi się jako synonim władzy wymuszanej siłą. Kult młodzieżowości wkracza zatem na miejsce kultu starszeństwa. Tądż stara się zająć pozycję profesora Aschenbacha. Fałszywa hierarchia totalitarna zostaje postawiona na głowie, nie tracąc przez to bynajmniej swojej fałszywości, tyle że teraz *a'rebours*.

Mówiąc o „fałszywości”, mam tu na myśli istotę relacji „pedagogicznej”. Źródło rzecz ujmując: w Grecji, gdzie w ogóle narodziła się europejska paidea, sensem wychowania była troska o dziecko jako potencjalnego uczestnika świata kultury, rzeczywistości duchowej. Pielęgnacja kultury, stawianie tamy zagrożeniu barba-

rzyństwem, stanowiło wyraz przywiązania, szacunku i miłości do samej kultury i do młodzieży, od której w przyszłości będzie należało jej kultywowanie.

Te wyższe uczucia, motywujące postawę przewodnika, opiekuna i wychowawcy, zostały w totalitaryzmie nadwyższone (wszak bezwzględny posłuch wyklucza życzliwość, nie mówiąc o miłości). Dryl towarzyszący takiej tresurze prowadził do wzajemnej wrogości i niechęci, której zresztą nie wolno było oficjalnie demonstrować. Krach ustroju autorytarnego w pierwszym rządzie odblokował te negatywne, tłumione emocje.

Dzisiaj, kiedy wskutek zniesienia, przynajmniej deklarowanego, narzędzi represji „wszystko jest dozwolone”, dawna utajona i obustronna agresja przeszła po prostu w stan otwarty. Szkoła, nauczyciele i wszelkie atrybuty „placówki wychowawczej” budzą u młodzieży wrogość. Zdezorientowani nauczyciele, pozbawieni autorytetu gwarantowanego przez władzę polityczną, zdegradowani pod względem materialnym i prestiżu społecznego, zachowują się podobnie do swoich uczniów. Szkoła stała się sceną walki, powielającą bez większych korekt stereotyp batalii toczonych na arenie politycznej i społecznej. Swoją funkcję ograniczyła do nauczania, być może dlatego właśnie, że jest to jedyny obszar przewagi nauczyciela nad uczniem. Depresja pedagogiczna — tak oto można określić stan i kondycję dzisiejszej szkoły (w najszerszym znaczeniu tego terminu, przy którym szkołą jest także dom). U jej źródła leży resentment, zgeneralizowane uczucie nienawiści i pogardy przenikające całokształt społeczeństwa posttotalitarnego.

Resentiment, jak tego uczył Nietzsche, to niszczycielska w skutkach emocja polegająca na zawiści. W odróżnieniu od zazdrości, która może dawać efekt pozytywny pobudzając do współzawodnictwa o dobra ogólnie cenione, resentmentowa zawiść unicestwia moralnie i duchowo uwikłane w nią podmioty. Ma ona bowiem wmontowany w siebie mechanizm „zazdrości egzystencjalnej”: nienawidzę kogoś za to, że jest tym, kim jest, chociaż równocześnie ja chciałbym nim być. W przypadku relacji pedagogicznej objawia się to szczególnie pomieszaniem wartości i pozycji: wychowawcy „chcieliby” (choć wiedzą, że jest to niemożliwe) być młodzi, beztroscy, „wyluzowani” — młodzieżowi, jednak bez utraty swojej uprzywilejowanej pozycji. Uczniowie zaś, ceniąc sobie swoją autentyczną młodość, jednocześnie pragną dysponować atrybutami dorosłości (dorosłymi nie chcąc być): niezależnością, pieniędzmi, prawem do zabawy i rozrywki.

W takim zamieszaniu wynikającym z utraty nie tylko poczucia hierarchii, ale i tożsamości, rozplenia się agresja w rozmiarach i postaci nie spotykanych dotąd. Specyficzna agresja szkolna wkracza w stosunki nauczyciel-uczeń, uczeń-uczeń, rodzice-dzieci, kapłani-wierni. Coraz częściej przybiera ona okrutne formy i znamiona postaw irracjonalnych i niszczycielskich: negocjowania wszystkiego i wszystkich oraz wrogości do świata. Bardziej wrażliwi obracają ostrze tego okrucieństwa przeciw samym sobie, stąd zjawisko narkomanii, pijaństwa już pośród dzieci, samobójstwa.

Przez pojęcie „depresji pedagogicznej” rozumiem jednocześnie deprecjację instytucji wychowawczych (wychowankowie postrzegają je jako „koszary” czy „więzienie”), jak również stan przygnębienia i bezradności ogarniający teoretyków i praktyków szkolnictwa. Próby refleksji nad marnością dzisiejszej szkoły ogra-

niczają się bądź do wskazywania winnych i przerzucania odpowiedzialności, bądź — do pośpiesznej lektury prac z zakresu modnej na Zachodzie „edukacji postmodernistycznej” i próby jej adaptowania na nasz grunt. Nie deprecjonując takiego rozglądania się za propozycjami wypracowanymi gdzie indziej, wypada jednak zgłosić obawę, że w taki sposób nie rozwiąże się problemów szkoły w społeczeństwie postkomunistycznym, obciążonym własną, specyficzną tradycją; sprawia ona, że mechaniczny, prosty przekład doświadczeń z innej kultury nie jest możliwy, a efekty przynosi groteskowe. W dodatku zapatrzenie na wzorce płynące głównie z Ameryki, odwraca uwagę od własnego dorobku pedagogicznego, pełnego wspaniałych przykładów wyrastających ze znajomości mentalności tych, do których paidea naszych czasów ma być adresowana.

4. Rewaloryzacja młodości. Miłość pedagogiczna

Koronnym problemem i głównym powodem zapaści pedagogicznej jest, w moim przekonaniu, wykorzenienie z relacji wychowawczej miłości. Bez obawy bycia posądzoną o sentymentalizm, uważam, iż to „wstydlive” dzisiaj słowo stanowi klucz do zagadki przywrócenia ludzkiego wymiaru szkole i rodzinie. Dwie przesłanki przemawiają za tą „hipotezą”, w końcu przecież banalną. Pierwsza: że miłość osoby dorosłej do dziecka jest prawem naturalnym ufundowanym na biologii, wynikającym z konieczności kontynuowania życia gatunkowego. Taka elementarna, odruchowa miłość, to podstawa poczucia bezpieczeństwa, umożliwiająca prawidłowy rozwój dziecka, a zarazem — podstawa obowiązku sprawowania opieki przez dorosłego. Druga racja wynika z poziomu kulturowego. Szkoła jest miejscem łagodnej transformacji niedojrzałości w dojrzałość. Dojrzewanie, nie identyczne z dorastaniem, polega na uwewnętrznianiu systemu wartości koniecznych dla trwania kultury.

Otóż jedną z licznych w naszym stuleciu wypartych w zapomnienie, wartości każdej kultury jest miłość do człowieka. Jeszcze nie tak dawno nosiła ona nazwę humanizmu i humanitaryzmu. Okrutne doświadczenia XX wieku symbolizowane fenomenem ludobójstwa, zachwiały wiarę w moc tej idei, bowiem stała się ona parawanem dla zbrodniczych ideologii. Czy jednak ludzkość może przeżyć, nie ceniąc i nie kochając samej siebie? Rozczarowanie i zniechęcenie do fałszywych doktryn rozszerzyło się na samą ideę miłości człowieka do innego człowieka. Mówienie o pedagogice miłości zapewne wzbudzi dziś sarkastyczny uśmiech i zarzut ekliwkości, naiwności.

Nie lękał się go jednak Janusz Korczak, kiedy pokazywał to własnym przykładem, czy w piśmie „Jak kochać dziecko”. Oraz kiedy dobrowolnie, wybierając śmierć, towarzyszył swym podopiecznym w ostatniej wycieczce do Trebłinki. Oczywiście nie można i nie wolno żądać od każdego wychowawcy aż takiego heroizmu (a w istocie każdy człowiek jest wychowawcą, czy tego chce, czy też nie). Ale też nasze czasy nie wymagają bohaterstwa. Chyba że za bohaterstwo uznamy przywracanie normalności, odruchy ojcostwa i życzliwości dorosłego (silnego) do niedorosłego (słabego) itp.

Taką odwagę głoszenia tez oczywistych wykazuje Jan Paweł II w książce, której czytelnicze powodzenie zdaje się świadczyć, że trafia ona w powszechne zmęczenie beznadziejnością i tanim nihilizmem. *Przekroczyć próg nadziei* to, w pewnym sensie, teoretyczny wykład i praktyczna aplikacja filozofii i paidei miłości. Idzie on pod prąd przemożnej obecnie tendencji do „horroryzacji” nastrojów. Apokaliptyczne wizje końca stulecia wzmagane są przez literaturę „kryzysologiczną”: wieszczanie katastrofy zagrażającej światu działa jak prawo samorealizującej się przepowiedni. *Territus terreo* — przerażony przeraża. Strach paraliżuje jednocześnie myślenie, wolę i uwalnia agresję, której przejawy dodatkowo uzasadniają atmosferę lęku. „Nie lękajcie się” — powiada Jan Paweł II za *Ewangelią*. Słowa te mogą mieć moc równą innym słowom dotąd dominującym: „lękajcie się”. Powstrzymanie zagłady świata lub dopuszczenie do niej — leży w gestii człowieka, zaś decyzja, w jakimś stopniu, zależy od poziomu odczuwanego lęku. Jak historia ostatniego stulecia pełna jest „sukcesów” w zakresie wzbudzania „istytucjonalnej nienawiści” (K. Mannheim), tak, na zasadzie analogii, może się powieść dzieło wzbudzania miłości. Kto wie, czy nie jest to nade wszystko kwestia wyraźnego sprecyzowania celu?

Raz jeszcze warto zadumać się nad współczesnym językiem, który zagubił całe słownictwo związane z miłością, zastępując je terminologią techniczną, technologiczną i inżynierską, także — o zgrozo! — w odniesieniu do kwestii wychowania. Technicyzacja pedagogiki maskuje, pod pozorem „unaukowienia” teorii i praktyki, pustkę emocjonalną. W ową pustkę wpełza strach i lęk. Są to typowe emocje z układu społecznego „pan-niewolnik”. Wskutek tzw. transformacji ustrojowych i kulturowych, wektor strachu stał się dwukierunkowy. Dorośli boją się młodzieży w tej samej mierze, jak młodzież dorosłych.

Przekroczyć próg nadziei — wspaniała idea paidei Nowego Tysiąclecia, to przekroczyć próg wzajemnego lęku. Lęk bierze się z poczucia niebezpieczeństwa. Miłość natomiast jest ostatecznym gwarantem bezpieczeństwa. Ale — nie wszelka, nie byle jaka miłość. Głównie, a może wyłącznie, miłość pedagogiczna, której fundamentem jest stosunek ojcostwa-synostwa. Kultura może poruszać się po linii własnej bezwładności, może też włączyć hamulec i — kierując się instynktem przetrwania — świadomie wykonać zwrot Tym bardziej, że ma ku czemu. W pokładach pamięci kulturowej Europy, u jej korzeni, znajduje się przecież nauczanie Sokratesa. Opierało się ono na wzajemnej życzliwości, przyjaźni i miłości starca i młodzieńców. Starość nie tylko nie wypiera się tam samej siebie, ale wręcz eksponuje swoje atrybuty. I, o dziwo, nie tylko nie odstręczają one pięknych młodzieńców, lecz pociągają i fascynują. Starość Sokratesa była bowiem — jego uczniowie nie mieli w tym względzie wątpliwości — synonimem mądrości, cierpliwości, opiekuńczości, troskliwości, ludzkiego ciepła. Była ona jak najdalsza od pychy, gdyż sama знаła swoją wartość. Nie ma tam obawy o dwuznaczność obecną w opowiadaniu T. Manna. Przyciąganie obustronne, tak wyraźnie widoczne w dialogach Platońskich, dokonuje się nie na płaszczyźnie jednostronnie estetycznej, nie jest wyrazem fascynacji brzydoty — pięknem prowokującym do uwodzenia. Rozgrywa się ono w przestrzeni duchowej. Eros, symbol wszelkiej miłości, uwzniaśla się w postaci umiłowania piękna duszy, a erotyzm jako żądza cielesna — uszlachetnia się w chęci „płodzenia razem pięknych myśli i pięknych czynów”.

Warunkiem powrotu do zdrowych stosunków między wychowawcą a wychowanymi jest zatem powrót do naturalnego, wyzwolonego z dewiacji, sposobu wartościowania poszczególnych faz ludzkiej egzystencji. Każdy w niej okres: dzieciństwo, młodość, dojrzałość, starość — ma swoje funkcje, niezbywalne i niezasępowalne. Podobnie jak cykl rocznych pór: wiosny, lata, jesieni i zimy; jak cykl siania, wzrostu, dojrzewania i zbierania plonów. Kultura, która zatraciła te proporcje, sama też, świadomym wysiłkiem, jest w mocy je restytuować. Musi sobie w tym celu uprzytomnić dwie prawdy: że miłość chroni ludzi przed wzajemnym wyniszczaniem się, oraz że miłości można i należy się uczyć. Perspektywą i alternatywą dla obecnej kultury przestachu jest zatem ewentualna kultura zaufania. Jego warunkiem—spełnienie postulatów przypominanych przez Jana Pawła II: „umiłować miłość”.